

JEST ŹŁE, BO JEST DOBRZE?

**Rozmowa Ireny Dryll i Tomasza Jeziorańskiego
z Waldemarem Kuczyńskim, doradcą dwóch byłych
premierów**

Szalenie się Pan zaktywizował w ostatnich tygodniach; co kilka dni zabiera Pan publicznie głos. Czy źródłem nowej energii są Demokraci?

-Nie Demokraci, ale – tu powiem uroczysty banał – stan Rzeczypospolitej, który jest dla mnie najważniejszym punktem odniesienia.

Czyżby uważał Pan ten stan za zły? Po 15 latach udanej transformacji, dokonującej się okresowo przy pańskim czynnym udziale?

-Wyczuwam ironię w pytaniu i nie przeczę, że są u nas niedobre zjawiska oraz niebezpieczne procesy świadczące, że Polska po korzystnym „wyskoczeniu” ze swoich tradycyjnych kolein na przełomie lat 80. i 90. znów schodzi na stare niebezpieczne szlaki. Ale jeśli ironia ma wyrażać stosunek do całego tego okresu – to takie podejście odrzucam, bowiem ja minione 15-lecie oceniam generalnie bardzo pozytywnie. Uważam, że transformacja się udała lepiej, niż gdzie indziej. Popatrzcie na inne kraje posocjalistyczne; Polska od tego tła bynajmniej nie odbiega in minus, a pod wieloma względami odróżnia się korzystnie.

Skala skumulowanego wzrostu PKB jest u nas chyba największa; w latach 1990-2004 ponad 60-procentowa. Mimo wszelkich kłopotów ze służbą zdrowia przeciętny Polak żyje dziś o blisko 4 lata dłużej, niż

w 1988 r. PRL żegnaliśmy ze śmiertelnością niemowląt na poziomie 16 promille, a dziś mamy 7 promille. Oba te wskaźniki zaliczane są przez ONZ do grupy kryteriów określających jakość życia i wprawdzie jeszcze nie sytuują nas w czołówce Europy, ale trudno nie zauważyć wielkiej poprawy. W ciągu tego 15-lecia dokonała się też w Polsce absolutna rewolucja w środowisku, a przypomnę, że w spadku po PRL otrzymaliśmy środowisko w stanie potwornej degradacji, żeby nie powiedzieć destrukcji.

System polityczny ukształtowany w III RP ma oczywiście liczne wady, ale weźcie proszę pod uwagę, że na przestrzeni ostatnich 300 lat Polska przeżyła zaledwie 23 lata w warunkach wolności i demokracji: przed wojną 8 lat (liczę do zamachu majowego) i teraz te półtorej dekady. To straszliwie mało z punktu widzenia aktywnego uczestnictwa w owocach demokracji. A przecież to nie jeden czy drugi Kulczyk ten system współkształtuje, tylko polski wyborca. To on decyduje, że jedne partie czy politycy znikają, a inni, czy inne – są promowane. Ten system działa; wybory się odbywają terminowo, partie przy władzy – zmieniają, przeżywają wzloty, kryzysy i upadki. Poziom klasy politycznej nie jest może porównywalny z francuskim, ale kiedy on się miał wyklarować, skoro w republikańskiej Francji klaruje się 200 lat? Zaś poziom złodziejstwa i korupcji sytuuje nas – to moje intuicyjne szacunki – w górnych, czyli gorszych, widełkach średniej europejskiej; absolutnie nie jesteśmy pod tym względem żadną europejską czarną dziurą.

Ogólnie, mam często wrażenie, że tym, co się nam rzeczywiście nie udało są elity intelektualne, również medialne; one są chyba całkowicie pozbawione tego, co Francuzi określają jako *esprit d'état*.

Dla nich w Polsce jest źle, bo jest dobrze. Jakby nie nastąpiło przestawienie przełącznika po 1989 roku ... Do swojego wolnego państwa elity mają taki sam stosunek, jak niegdyś do wrogiego państwa totalitarnego. Jak wtedy przykładano władzy, tak się nadal przywala bez umiaru, a często i bez powodu. A to są chyba jednak – przy wszystkich zastrzeżeniach do kolejnych ekip rządzących i niezależnie od ich kolorów politycznych – różne władze, z różnego nadania, z różnymi legitymacjami.

Błędy, nieprawości czy nadużycia w wykonaniu władzy rażą każdego, lecz gdyby elity nie wykazywały na to szczególnej wrażliwości – nie były by elitami. Patologie trzeba nazywać po imieniu i je zwalczać.

-Teoretycznie macie rację, ale powiem wam, że ja bardzo się boję rycerzy dobra, a mamy ich obecnie wielki wysyp. Uważają się za nieskalanych, chcą, żeby świat wokół też był nieskalany i rozgłaszają, że taki zbudują. A to przecież mrzonki, które rycerzy dobra rychło przemienią w rycerzy błędnych, walczących z wiatrakami. Rachunek zapłacą jednak wszyscy, a nie tylko oni. To jeden z felerów demokracji.

Pięknie też mówicie o zwalczaniu patologii, tylko ja się pytam, jaka jest definicja patologii? Co to jest? Kiedy ma miejsce? Bo jeśli mi powiecie, że przykładem patologii jest tzw. afera Orlenu to odpowiadam z góry, że na razie ja tam nie widzę żadnej patologii, ani żadnej afery. Jeden prywatny jegomość spotyka się z drugim, a niechby i byłym rezydentem wywiadu odpowiadającym dziś za energetykę atomową w Rosji to ma być afera, która chwieje państwem? Albo to, że jakiegoś innego gościa przez kilka godzin z niewiadomego powodu przetrzymano w areszcie?

Nomenklatura u zła, to jest aktualnie główna patologia.

-To, że ludzie dawnego reżimu zachowali wiele odpowiedzialnych stanowisk po 89 roku ma być patologią? To nie patologia, to natura życia. Mieliśmy ich rozstrzelać, czy poprosić Gorbaczowa o gubernię na Syberii? A niby kto tworzył II RP po 11 listopada 1918 roku? Nieskalani rycerze dobra? Nie, tworzyli ją urzędnicy, którzy wcześniej byli w służbie 3 zaborców. A kto budował przez pierwsze 4 lata, a potem po 1956 roku Polską Rzeczpospolitą Ludową – państwo niesuwerenne, ale jednak państwo polskie, a nie republikę radziecką? Rosyjskojęzyczni bolszewicy? Nie, przedwojenni urzędnicy i nauczyciele, elity II RP. I całe szczęście, że ci Polacy się włączyli, a nie stanęli z boku, choć przecież nie miłość do komunizmu ich zaktywizowała, ale siły życia.

Dzisiaj można bezkarnie gadać, że trzeba było umowę okrągłostołową potraktować, jako wybieg taktyczny i od razu po 4 czerwca robić dekomunizację, ale realizacja takich pomysłów, wyrzucenie tysięcy ludzi na margines przyniosłaby wtedy krajowi katastrofę; przecież my, opozycja w ogóle nie mieliśmy kadry zdolnej do rządzenia państwem, a jak to jest trudne można się dotkliwie przekonać próbując władzy samorządowej, na przykład w dużych miastach. Dziś, gdy mamy roczniki nowych kadr takie projekty nie spowodują katastrofy, ale pogłębią podziały i jeszcze bardziej zdeintegrują społeczeństwo.

Czy ktoś, komu nie starcza do pierwszego ma obywatelską powinność oceniać 15-lecie tak jak Pan – statystycznie z lotu ptaka? Dla 3 mln bezrobotnych paszport w szufladzie nie bilansuje się z pustym garnkiem, poczucie krzywdy spowodowane

wyzyskiem w miejscu pracy – nie zachęca do aktywności obywatelskiej, zaś taki sam brak perspektywy znalezienia pracy w warunkach wielkiego wzrostu gospodarczego, jak w okresie stagnacji – uzasadnia czarnowidztwo.

-Czyje czarnowidztwo?

Ludzi.

-Powoli, powoli. To fakt, że wielkie bezrobocie kreuje pewien stan psychologii społecznej, zwiększa frustracje, w jakimś sensie nakłada ludziom czarny filtr na oczy przez który wszystko wydaje się gorsze – i złodziejstwo większe, i politycy bardziej skorumpowani, i państwo słabsze, mniej sprawne i niesprawiedliwe. Będąc doradcą premiera Buzka widziałem bardzo wyraźnie, jak ten filtr zaczął działać w 1999 roku, dokładnie wtedy, gdy po kilku latach spadku, bezrobocie zaczęło gwałtownie rosnać. Ale to nie jest pełna prawda o odczuciach i postawach społecznych. Polska to jednak nie tylko 19 proc. bezrobotnych, ale również 81 proc. pracujących. Ogromna większość Polaków na transformacji – mimo błędów – zyskała i to widać w porządnych badaniach społecznych.

Chyba nie całkiem; na pytanie, w jakim kierunku idą polskie sprawy – większość odpowiada, że w złym.

-Na takie prymitywne pytania ludzie odpowiadają, powtarzając jak papugi to, co akurat słyszą w mediach. A od wielu miesięcy słyszą tylko jedno: że jest źle, będzie gorzej i nadchodzi jakaś ogólna katastrofa. Tymczasem, gdy w innym badaniu spytano ludzi trochę mniej prostacko, czy uważają swoje życie za szczęśliwe i udane – ogromna większość odpowiedziała: tak. Mało tego, gdy zapytano jak oceniają własne zdrowie (w szczegółach chodziło o stres, palpacje,

bezsenność i tym podobne dolegliwości typowe dla współczesnych społeczeństw) – tylko niespełna 8 proc. badanych wskazało różne dolegliwości, jako często odczuwane. Te i podobne badania nie potwierdzają więc medialnego obrazu, że obok niewielkiej grupy beneficjentów transformacji jest ogromna rzesza przegranych. Wygranych jest zdecydowana większość.

Wiele zależy od tego, jaką się przyjmie definicję wygranego.

-Właśnie. Siostra mojej żony jest emerytką w niedużym mieście. Ma tysiąc złotych emerytury i mówi, że jest szczęśliwa, że czuje się wygrana. Wystarcza jej na czynsz i świadczenia, jak ma ochotę, do chleba kupuje sobie szynkę bez łaski ekspedientki i stania w kolejce, jest porządnie ubrana, niczego nie musi sobie odmawiać. Myślę, że podobnie postrzegają swój los miliony ludzi. Kryterium wygrania na transformacji nie może być wybudowanie willi, mercedes w garażu i coroczne wakacje w ciepłych krajach; coś takiego nie jest powszechne w najbogatszych społeczeństwach. Tak wszędzie wygrywają tylko nieliczni. Polacy to rozumieją i dlatego nikt ich na „majdan” nie wyprowadzi, bo w narodzie nie ma żadnego dynamitu rewolucji, choć wiele rzeczy złości.

Dynamitu rewolucji chyba faktycznie nie ma, ale z badań zespołu prof. Janusza Czapińskiego wynika jednoznacznie, że jest spadek aprobaty dla transformacji i narasta polityczna apatia społeczeństwa.

-O spadku aprobaty dla transformacji w ostatnich latach decydują moim zdaniem 3 bardzo konkretne czynniki. Pierwszy to demografia. Od końca lat 90. wchodzi na rynek pracy roczniki wyżu z lat 80. – był to wówczas najwyższy przyrost naturalny w Europie! I te roczniki

szukają pracy, nie w stabilnej, kręcącej się gospodarce, ale w gospodarce ogarniętej europejską dekonjunkcją, wymuszającą drugą falę restrukturyzacji, zwłaszcza kosztowej. To niefortunny zbieg zjawisk i tendencji, bo przecież o demontażu poprzedniego ustroju nie zdecydowano przy okrągłym stole z rocznikiem demograficznym w ręku.

Drugi czynnik wystąpił wcześniej, bo w połowie poprzedniej dekady. Po załamaniu gospodarczym, spadku produkcji i dochodu narodowego w latach 1989-92, po pokonaniu hiperinflacji i po przeprowadzeniu pierwszej fazy restrukturyzacji, głównie własnościowej, gdy gospodarka zaczęła rosnać, myśmy sobie zafundowali 4-letni festiwal konsumpcyjny. Nie mówię o grupie najzamożniejszej, ale o społeczeństwie jako całości, przez pryzmat statystyk. Na liście 20 krajów Europy poczynając od roku 1996 do 1999 byliśmy w absolutnej czołówce sprzedaży detalicznej. Aż dotarła do nas dekonjunkcja i ta handlowa erupcja się załamała. Psychologicznie dało to efekt pogorszenia tym większego, że zbiegło się ze wzrostem bezrobocia. Z identycznym efektem mieliśmy do czynienia na wsi w pierwszej połowie lat 90, gdy rolnicy płakali nad swą dolą, bo rynkowe warunki gospodarowania odnosili do drugiej połowy 1989 roku, gdy uwolnione zostały ceny żywności i na wsi zapanowało 6-miesięczne eldorado.

Czynnik trzeci, to wspomniana już wcześniej fala gazetowego czarnowidztwa, która nas zaczęła zalewać i utwierdzać społeczeństwo w poczuciu, że transformacja to gigantyczny błąd. Na to pole wskoczyli polityczni koniunkturaliści o różnym, często mało ciekawym kolorze. Ci idą jeszcze dalej bredząc o zdradzie okrągłostołowej, zbrodni

zaniechania dekomunizacji i w ogóle o upadku III RP.

Z jednej strony kilka milionów bezrobotnych, kilka milionów wykluczonych, kilka milionów głodnych dzieci, wyzysk w pracy, z drugiej – rosnąca rentowność firm, rekordowe dywidendy wyprowadzane za granicę i niechęć do inwestowania. Ludzie widzą te czynniki. To też zbiegi okoliczności i psychologia, czy może błędy w metodzie?

- Zaraz o tym porozmawiamy, ale chciałbym jeszcze wrócić do ostatniej sekwencji poprzedniego pytania, kiedy z ubolewaniem mówiliście o politycznej apatii społeczeństwa. Chcę bowiem powiedzieć coś, co być może was zaskoczy, a w autoryzacji może sam to później skreślę. Otóż jako czynny uczestnik rewolucji solidarnościowej lat 1980/81 nie życzyłbym sobie przeżywać jeszcze raz czasów, w których 10 mln ludzi zaczyna się zajmować polityką. Taki stan, choć przypomina święto, to świadectwo ciężkiej choroby, która toczy społeczeństwo. Pewna doza politycznej bierności, to moim zdaniem stan zdrowszy, aniżeli nadmierna aktywność. Oczywiście, równowaga jest źródłem wszelkich cnót i każda przesada jest niedobra, także całkowite egoistyczne zwrócenie się wszystkich ku prywatności. Ale z dwojga złego wolę taką sytuację, niż taką, w której raptem masy zaczynają pałać pragnieniem, by gdzieś, po coś wyruszyć.

Dlaczego?

-Przez ostatnie 250-300 lat główną troską Polaków był los nieszczęśliwej Ojczyzny. Organizując kolejne powstania i składając wielką daninę krwi oraz represyjnych zsyłek, wiele pokoleń naszych przodków dawało praktyczny wyraz, że w hierarchii wartości sprawy kraju są dla nich ważniejsze, niż sprawy prywatne. I mnie się wydaje,

że po obaleniu komunizmu i odbudowaniu wolnej demokratycznej, suwerennej Ojczyzny Polakom, jako społeczeństwu należy się kilkadziesiąt lat, w ciągu których zajmą się bardziej swoimi własnymi sprawami, dorabianiem się, zabieganiem o to, by dobrze przeżyć własne życie. To jest niezbędne nie tylko dla zdrowia psychicznego narodu, ale i dla podniesienia jego poziomu cywilizacyjnego, ogólnego dobrobytu. Powszechne uczestnictwo w politycznej gorączce to marsz do tyłu, a nie do przodu.

Ale jest jeszcze jeden powód. Gdy mianowicie społeczeństwo zaczyna pałać pragnieniem, żeby gdzieś wyruszyć, potrzebny jest przewodnik. A ja przewodników nie lubię bo uważam, że jak zaczynają się pojawiać przewodnicy – zagrożona staje się wolność i demokracja.

Fakt, niektórych kandydatów na takich przewodników już nawet widać. Ale wróćmy do transformacji. Zostawmy na boku sam okres przejścia 1989/91; terapia szokowa była niezbędna, choć ją przestrzelono...

-Trochę tak, ale był to wybór świadomy, bo tego typu operację lepiej nieco przesolić, a potem się trochę cofnąć, niż niedosolić, tj. rozbabrać i nie dokończyć. Nawiasem mówiąc bardzo szybko, bo już w połowie roku 1990, gdy rząd zobaczył, że zapowiada się duża nadwyżka w budżecie – polityka została złagodzona.

... zapoczątkowując procesy destrukcji, których skutków i skali nie ogarniano ponieważ w ogóle o tym nie myślano, żeby przywołać złotą myśl ministra przemysłu Syryjczyka, że *najlepsza polityka to brak polityki*. Nie było żadnej całościowej koncepcji restrukturyzacji, zastąpiła ją pułapka kredytowa i od początku magiczne lekarstwo: prywatyzacja. Nie było żadnej koncepcji

budowy rynku, ani jego ochrony, więc już we wrześniu 1991 wskoczyliśmy na dwucyfrowy poziom bezrobocia i pozostajemy w tej strefie do dziś, jako prymus Europy. Nie było i do dziś na dobrą sprawę nie ma strategii rozwojowej. Cały proces przebudowy biegł bezplanowo, na żywioł. Rozwalono całe branże na czele z przemysłem lekkim, elektronicznym, zbrojeniowym oddając nasze miejsca pracy – innym krajom. To są te sukcesy?

-To są w większości obiegowe półprawdy, albo wyobrażenia mityczne. Mówicie o bezplanowym budowaniu rynku, co dobrze brzmi, ale to nonsens. Jeśli upada system politycznej dyktatury, to załamuje się cała struktura administracyjnego kierowania gospodarką, bo system nakazowo-rozdzielczy jest możliwy wyłącznie w skojarzeniu z dyktaturą. Przewracając gospodarkę nakazowo-rozdzielczą przewróciliśmy więc cały system i strukturę administracyjnego kierowania gospodarką. W takich warunkach rynku się ani nie buduje, ani nie przywraca. On po prostu pojawia się sam, żywiołowo i natychmiast wchodzi w miejsce opuszczone przez administracyjnego nadzorcę. Polskim symbolem rodzącego się spontanicznie rynku pozostaną „szczęki”. Bo co to jest rynek? Rynek to wolność gospodarcza, to sytuacja, w której każdy podmiot jest zdany na siebie, sam musi sobie znaleźć dostawców, odbiorców i źródła finansowania. W toku tych poszukiwań kształtuje się nowa struktura gospodarcza, oparta o preferencje nabywcy, konsumenta, a nie sprzedawcy. Z czasem ten żywiołowo powstający rynek obudowywano regulacjami i instytucjami, częściej zresztą idą za daleko, niż za blisko.

Za mało rynku, za dużo państwa, to klasyczna teza liberalistów.

-Ja nie jestem więźniem żadnej doktryny ekonomicznej. Mnie

bardzo odpowiada myśl, którą gdzieś zapisał Michał Kalecki, że ekonomia, to przede wszystkim pragmatyka. Moje oceny dyktuje ta właśnie filozofia: pragmatyka oparta na faktach. Wy wytaczacie wobec mnie armatę, że żywiołowe otwarcie rynku wprowadziło nas na wysoki pułap bezrobocia, ale to nie jest w zgodzie z faktami i od przodu, i od tyłu. Zaczniemy od tyłu, czyli od skutków. Analizowałem kiedyś dane statystyczne pod tym kątem, bo przecież ten zarzut pojawia się od lat. I co się okazało? Okazało się, że w porównaniu z Czechami czy Węgrami, w Polsce w pierwszej fazie transformacji wcale nie doszło do drastycznego likwidowania miejsc pracy. Przeciwnie, zatrudnienie u nas spadło procentowo mniej, niż tam.

I dlatego w Polsce jest dziś najniższa stopa zatrudnienia w Unii Europejskiej, a za realizację Strategii Lizbońskiej Bruksela wytyka nas jako najgorszego ucznia w klasie?

-Wolnego, Strategia Lizbońska to kwestia ostatnich lat, a nie błędów w początkach transformacji. Problem polskiego rynku pracy nie tkwi w zbyt masowych likwidacjach i redukcjach, ale w zbyt małym przyroście nowych miejsc pracy. Polska gospodarka wciąż jest za mała, by efektywnie wchłonąć te kolejne ogromne roczniki wyżowe. Rezultat jest identyczny: kolejki po zasiłki, ale dla ekonomisty to są dwa zupełnie różne problemy.

Teraz druga armata: otwarcie gospodarki, czyli przyczyna rzekomego masowego likwidowania miejsc pracy. Na Boga, taka uwaga mnie już wkurza. Przecież Balcerowicz zrobił najpierw coś dokładnie przeciwnego: gospodarke zamknął! Bo czym niby było drastyczne podniesienie kursu złotego i utrzymanie ceł? Nie minęło wiele czasu, gdy podniósł się gwałt, że to zamknięcie importu hamuje

procesy restrukturyzacji. Wskutek polityki ochrony rynku w 1990 roku Polska uzyskała spektakularny sukces w postaci wielkiej nadwyżki w bilansie handlowym.

To był epizod, podobnie jak zamknięcie gospodarki, które trwało rok.

-Zgoda, bo program złagodzono. Ale do dziś pamięta się zawieszenie części ceł i krzyczy o nieodpowiedzialnym otwarciu, a nie o tym, że wtedy krytykowano Balcerowicza za zaporowe ustawienie kursu i barier celnych. Wszystko to się ludziom strasznie miesza i zaciera. Wspomnieliście też o pułapce kredytowej, na której przejechało się sporo przedsiębiorstw... Już jesienią 1989 r. było wiadomo, w jakim kierunku idzie przygotowywany program gospodarczy. Nie tajono, że podwyżki stóp procentowych będą wysokie. Niektóre firmy potraktowały to serio, stanęły na głowie i pospłacały, co się dało przed terminem. Była wtedy wysoka inflacja, więc i wysokie dochody, można było szybko pozbyć się długów. A kto nie uwierzył – wpadł jak śliwka w kompot, albo nie przymierzając jak Grobelny, który liczył, że weźmie forszę od ludzi, potem kurs dolara się załamał i on za te dolary zgarnie znacznie więcej, wszystko pooddaje i jeszcze zarobi. Tymczasem Grobelny się przeliczył i zajął się nim prokurator, a ludzie swoje oszczędności potracili. Powiedźcie, czy o tego typu zdarzenia można obciążać program gospodarczy? Czy można było zaczynać jakąkolwiek restaurację gospodarki i zwalczanie inflacji bez urealnienia stóp procentowych?

Nie, ale gdyby pomyślano o skali skutków, to można było zaprojektować w systemie jakieś amortyzatory i bezpieczniki, zamiast panaceum: prywatyzacja. Jednak robienie czegoś planowo

było wtedy niepoprawne politycznie.

-Prywatyzacja to kolejny mit. Śmiałbym twierdzić, że prywatyzacja w Polsce została zrobiona najlepiej w byłym obozie. W sensie ekonomicznym była i jest robiona metodami konserwatywnymi za konkretne pieniądze, a nie w drodze ekonomicznego awanturnictwa typu vouchery czy kupony. W sensie społecznym nikt nie może powiedzieć, że jest robiona ponad głowami załóg. Duża część zakładów została przejęta przez spółki pracownicze, które wcale nieźle sobie radzą. Od początku była stosowana zasada udziału załóg w akcjach. W radach nadzorczych komercjalizowanych spółek zasiadali z mocy prawa przedstawiciele załóg, a każdy inwestor miał i ma obowiązek wynegocjować pakiet socjalny. Czego chcieć jeszcze? Była i kasa, i białe rękawiczki, większość sprywatyzowanych firm funkcjonuje dziś lepiej, niż niegdyś, a upadły nieliczne? O co więc chodzi?

...

-Nie, nie – sam odpowiem: chodzi o to, że w oczach tych, którzy pracę stracili i tych, którzy boją się, że ją stracą prywatyzacja jest winowajcą zastępczym. Tak jest też gdzie indziej. Gdy jako minister prywatyzacji złożyłem w Nowym Jorku wizytę szefowi Wall Street, on na dzień dobry mnie zapytał, czy wybrałem już kraj, do którego ucieknę, gdy odejdę z rządu. Taki żart o czymś świadczy. I zobaczycie, że za 5-6 lat, gdy choćby tylko z powodów demograficznych bezrobocie zacznie wyraźnie spadać – społeczne notowania prywatyzacji się poprawią.

Teraz chciałem wrócić do waszej tezy o planowaniu. Zgoda, macie rację, planowanie było wtedy passé. Jednak zastanówmy się, nad

znaczeniem tego pojęcia. W pierwszym okresie trzeba było gospodarkę ustabilizować i lepszy, czy gorszy, ja uważam, że dobry – plan stabilizacyjny, a zarazem plan przejścia był i został zrealizowany. Następnie wchodzimy w transformację i wy zgłaszacie uwagę, że było błędem prowadzić ją bezplanowo. A ja na to odpowiadam, że to jest myślenie ahistoryczne. Planowanie było wtedy synonimem tego, co najgorsze w PRL. Tak uważali nie tylko ekonomiści, tak uważało społeczeństwo. I miało rację, bo centralne planowanie było szkodnictwem, które zaprowadziło gospodarkę w ślepy zaułek; strukturalny przede wszystkim. I co, Mazowiecki miał wtedy wyjść i ludziom powiedzieć: będzie gospodarka planowa, tylko lepsza? A kto by miał te plany robić i nadzorować? Stary aparat Komisji Planowania?

Moment, chwila, bardzo prosimy bez demagogii. Gospodarka planowa, to jest co innego niż planowanie w gospodarce. My mówimy o planowaniu, jakie miało miejsce we wszystkich gospodarkach zachodnioeuropejskich, a nie o odbudowie Gosplanu.

-No dobrze, poniosło mnie trochę, ale tak czy siak ja uważam, że wtedy, w początkach lat 90. to nie był etap w którym państwo mogło się zastanawiać nad tym, które na przykład branże wspierać, a których nie wspierać.

To chyba zbyt łatwe wytłumaczenie. Człowiek bądź co bądź kompetentny, uczestnik najwęższego kręgu decyzyjnego, budżetowy wielki mag Wojciech Misiąg twierdzi, że jednym z większych błędów, było wtedy zniesienie ustawy o planowaniu, wskutek czego do dziś jedynym planem gospodarczym państwa jest budżet.

-Być może po okresie przejścia można było jakieś elementy rzeczowego prognozowania rozwoju wprowadzić, ale ja byłbym wtedy takim pomysłem przeciwny, a i dziś nie jestem do nich przekonany. Nie należy nie doceniać procesów żywiołowych; teoretycy systemów twierdzą wręcz, że najbardziej twórcze są systemy anarchiczne. Przykładem Internet – pełen żywioł rozwojowy i prawdopodobnie największa rewolucja przełomu XX i XXI wieku. Więc ja się żywiołowego rozwoju gospodarki nie boję, natomiast boję się i to bardzo żywiołu biurokratycznego, bo on odbija naszą niską kulturę obywatelską i administracyjną i stwarza pole do tego, co Polacy kochają: do obchodzenia i naginania prawa. Dziś mamy tego nadmiar, a co by było gdyby gospodarkę obejmować jakimiś rygorami planu? To by dopiero był bałagan i korupcja.

Komisja Europejska tego żąda. Bez planu nie dostaniemy obiecanych pieniędzy z Unii.

-No tak, Bruksela nakłada na nas obowiązek zrobienia czegoś w rodzaju planu. NPR to ich wymóg, a nie nasz wymysł.

Zły wymóg?

-Nie, chyba w sumie dobrze, że zostanie przywrócone coś w rodzaju długoterminowego wglądu w gospodarkę i jakiegoś nią podsterowywania. Ale gdy czytam projekt tego konkretnego planu, uczucia mam mieszane. Choć mówię bez bicia: ja tego planu nie analizowałem, zapoznałem się z nim dość pobieżnie.

Czego dotyczą Pana zastrzeżenia?

-Zastrzeżenia, to za dużo powiedziane, raczej wątpliwości. Gdy sięgam pamięcią do lat gospodarki centralnie planowanej przypominam sobie, że chorobą tamtego systemu był nadmiar słusznych celów, który

sprawiał, że już w momencie budowy plan był wewnętrznie niebilansowany. No i zastanawiam się, czy w tym NPR nie za dużo mamy priorytetów. Kupa ich jest. Wprawdzie inną mamy epokę i nikomu nie przychodzi do głowy bilansować tego planu w sensie rzeczowych strumieni zaopatrzenia, ale nieuchronny jest wyścig do pieniędzy. Gdy patrzę na to, co się w kraju dzieje, na te głębokie podziały i skłócenie wszystkich ze wszystkimi, mam obawy co do tego, czy NPR okaże się zgodnie z intencjami unijnymi potężnym instrumentem spójności, czy odwrotnie ...

... rozrywaniem sukna?

-Właśnie. Liczne regionalne stada rzucą się na te pieniądze i mam obawy czy państwo utrzyma nad tym właściwy, tj. merytoryczny, zobiektywizowany, pozbawiony protekcjonizmu nadzór. Przy tym klimacie, jaki w Polsce teraz jest nie widzę, żeby te wielkie pieniądze unijne okazały się czynnikiem spójności. Może, gdyby Partia Demokratyczna weszła do Sejmu i zdobyła znaczącą pozycję, choćby i obrotową, albo gdyby się udało utworzyć silne centrum – może wtedy byłaby szansa na powstrzymanie tych różnych politycznych odlotowców z prawicy.

Regionalizacja to warunek sine qua non Brukseli.

-Wiem, ale ten warunek można próbować różnie spełnić. Można tak, jak robią to autorzy tego NPR, a można inaczej, na przykład organizując wyścig regionalny wokół jednego wyraziście postawionego celu.

Ma Pan na myśli jakiś konkretny cel, czy mówi teoretycznie?

-Myślę o bardzo konkretnym celu ekonomicznym: polskiej ekspansji gospodarczej na rynki Wspólnoty, poszerzenia naszego

udziału w globalnym rynku unijnym. Przy ukierunkowaniu narzędzi na taki cel przestanie być ważne, że importerzy z innych krajów zagarniają jakąś część naszego rynku, bo w tym samym czasie my będziemy robić to samo – u nich. Byle bilans był dla pozycji Polski korzystny. Wtedy stara Unia też zacznie czuć do nas respekt. Jest tylko jeden problem: tego rodzaju plan, żeby mógł się realizacyjnie udać musi mieć za sobą jako premiera osobowość na miarę Eugeniusza Kwiatkowskiego, mocno osadzoną politycznie bardzo silną indywidualność, która skutecznie opędziłaby się od wszelkiej maści lobbystów.

A jednak, choć cel konkretny - weszliśmy w świat teorii. Wróćmy więc do rzeczywistości. Co będzie, jeśli nie da się powstrzymać owych „odlotowców z prawicy”? Nie boi się Pan takiej perspektywy?

-Bać się? Niby kogo – Kaczyńskich i Giertycha? Kochani ja od połowy sierpnia 1980 do połowy grudnia 1981 r. naprawdę się bałem, ale bałem się wtedy Breżniewa. On był u szczytu potęgi, połknął Afganistan i wystarczało, że zmarszczył brew, a już Zachodnia Europa dostawała „rozwolnienia”; tysiące ludzi wychodziło na ulice i dalej krzyczeć, *lepiej być czerwonym niż martwym*. Za Oceanem był zaś wtedy gołębi Carter. A my tutaj przez 16 miesięcy każdego dnia graliśmy temu imperium na nosie. Ja miałem pełną świadomość, że ta rewolucja będzie stłumiona i bałem się, że zostanie to zrobione tak, jak w Czechosłowacji w 1968 roku, ale jak to w Polsce – z krwią. I co, po takim doświadczeniu mam się bać pomysłów PiS i LPR? Wolne żarty. Może bym się nawet bał, gdybyśmy nie byli w Unii Europejskiej, ale Unia narzuca pewne standardy, których nie da się łamać. W kontekście erupcji rozmaitych prawicowych pomysłów jeśli już czegoś miałbym

się obawiać, to tego, że odstawione tu zostanie groteskowe widowisko, które zaszkodzi naszej międzynarodowej pozycji. Ale nie sądzę, by to był jakiś przewlekły spektakl. W najgorszym razie będą to raczej pojedyncze epizody i oczywiście dużo groźnego pokrzykiwania w pompatycznym sosie.

Na czym opiera Pan tę prognozę?

-Po pierwsze na przekonaniu, że jest w naszym narodzie pewna mądrość i niechęć do skrajności. Po drugie na tym, że zetknięcie się z realiami władzy, z prawdziwymi problemami, z maszyną państwową, z dylematami dotyczącymi milionów ludzi i z odpowiedzialnością za państwo – to wszystko uczy pokory. Wiem coś o tym z doświadczenia, bo byłem nie tylko doradcą, ale i konstytucyjnym ministrem w rządzie T. Mazowieckiego. Więc jestem dziwnie spokojny, że jak oni usiądą po drugiej stronie biurka, jak poczują ciężar rzeczywistych problemów, to nie jeden gość z PiS otrzeźwieje i zapomni o podnieceniu z Sali Kongresowej na rozpoczęcie kampanii. Media pomogą, bo szybko zdejmą ochronę z obecnych ugrupowań opozycyjnych i skierują ogień w stronę nowej władzy.

Po trzecie, jak wspomniałem, Unia narzuca standardy poszanowania instytucji demokratycznych. Mamy Trybunał Konstytucyjny, który nie pozwala hulać po prawie. Mamy Radę Polityki Pieniężnej, która nie pozwoli hulać po publicznych finansach i którą nie tak łatwo odwołać. Mamy niezależne sądy. Mamy też Konstytucję, którą nie tak łatwo zmienić. A na końcu mamy europejskie Trybunały. Ponieważ my to wszystko mamy, ja mam prawo mieć nadzieję, że w nadchodzących latach Polska wykona skok cywilizacyjny, a nie skoczy do pustego basenu.

("Biuletyn Dialogu Społecznego" - kwiecień 2005)